

Pobiegane Z deszczem



Seria: *Pobiegane*

Aneta Staszewska

Pobiegane
Z
deszczem

Aneta Staszewska

Langfort

Wydawca: Langfort

Korekta i redakcja: Zespół Langfort

Ilustracje: Aneta Staszewska, Canva.com

Wydanie I

ISBN: 978-83-964447-0-7

Copyright ©Aneta Staszewska & Langfort

Licensed by ANETA STASZEWSKA 2022. All rights reserved.

www.langfort.pl

Z dedykacją dla Ciebie!

Podziękowania dla wszystkich, dzięki którym
uśmiech zagościł na mojej twarzy.

Spis treści

Rozdział I	
Czy ten człowiek w obrazie się rusza?	8
Rozdział II	
Skąd ci wszyscy ludzie w obrazie?	27
Rozdział III	
Co przyniósł TEN DZIEŃ?	35
Rozdział IV	
Początek historii ratowania małego świata	43
Rozdział V	
Efalup odkrywa pierwsze zadanie.	51
Rozdział VI	
Gdzie żyje lew jaskiniowy?	58
Rozdział VII	
Czy w jaskini niedźwiedzia mieszka lew?	64
Rozdział VIII	
Sam na sam z lwem	68
Rozdział IX	
Jeśli się śmiać, to gdzie?	73
Rozdział X	
Zdobyczny uśmiech	77

Rozdział XI

Zapłakane miejsce 88

Rozdział XII

Być w Niebie..... 100

Rozdział XIII

Ach, ten urwisek! 104

Rozdział I

Czy ten człowiek w obrazie się rusza?

– Takich warunków na trasie nigdy nie widziałem – powiedział organizator do uczestnika biegu górskiego tuż przed linią startu. – Jest pełno błota, kałuż i wszędzie bardzo ślisko. Uważaj, od razu widać, że to zadanie dla najwytrwalszych.



Odprawadzałam z tatą moją mamę – uczestniczkę półmaratonu górskiego w Łądku-Zdroju – na miejsce zawodów. Deszcz padał od czwartej nad ranem.



– Cóż, jakoś dam radę – powiedziała mama, żegnając się z nami. – Nie takie rzeczy robiłam, przecież przygotowywałam się trenując w różnych warunkach – dodała. – Poza tym, jak to mówią, „nie ma złej pogody do biegania, jest tylko niewłaściwie dobrane ubranie”. Chwyła jeszcze moją buzię w swoje dłonie, pocałowała w czoło, przytuliła się do taty i cmoknęła go w policzek.

– Trzymajcie się, będzie dobrze. Do boju!

Czułam, że chciała nas pocieszyć i sprawić, byśmy się o nią nie martwili. Na linię startu podążyła sama. Odwróciła się jeszcze do nas, mówiąc przy tym: „Kocham was” i machając dłonią.

Po chwili usłyszeliśmy strzał i wszyscy biegacze wystartowali.

Ale zaraz, może zanim przedstawię Wam tę niezwykle fascynującą historię, która spotkała mnie podczas oczekiwania na moją biegającą w półmaratonie górskim w Łądku-Zdroju mamę, to chciałabym Wam powiedzieć tylko, że niedawno skończyłam już dziesięć lat, wciąż uwielbiam się głośno śmiać i dalej lubię opowiadać. Niektórzy czasem nawet mówią, że za dużo gadam, phi! Koniec już jednak o mnie, teraz o tej historii, a ona jest tak niesamowita, że naprawdę musicie ją poznać.



Hmm..., na czym skończyliśmy? A, już wiem. Mama rozpoczęła swój kilkugodzinny bieg w górach, a my musieliśmy gdzieś na nią zaczekać.

– Tato, bo ja już jestem taka głodna. Bardzo chce mi się jeść, tak bardzo, że mi w brzuchu burczy. Chodźmy gdzieś usiąść, nie jedźmy z powrotem do pensjonatu! Tu na pewno znajdziemy jakieś fajne miejsce. Ty też na pewno jesteś głodny. – Z całym przekonaniem w głosie i uśmiechem na twarzy dodałam – Ja wiem, że jesteś głodny. Zjedzmy coś tutaj, tatooo! Może jakąś pyszną pizzę? Może kupimy taką, jaką lubisz, na cienkim cieście z mozzarellą? O, ja bym taką zjadła, a ty? Na pewno ty też.

– Kinga znowu próbujesz mnie na coś naciągnąć, już znam te twoje sztuczki. – Po chwili namysłu odpowiedział: – Dobrze, tym razem się zgadzam, a zresztą też mi się nie chce wracać do pustego pokoju

i rzeczywiście jestem głodny. To idziemy szukać jakiegoś lokalu, gdzie będzie można się posilić.

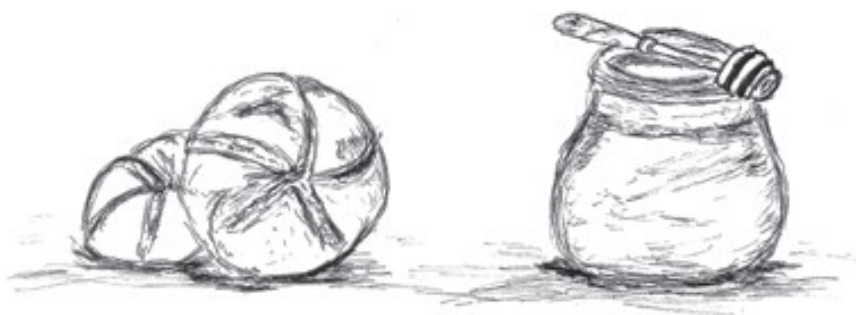
Gdy my rozglądaliśmy się za pizzerią, mama przebiegała kolejne metry swojego górskiego półmaratonu. Najpierw na linii startu od jednego pana z grupy organizującej bieg usłyszała:

– Śniadanie zjedzone?

– A jakże, bułka z miodem – odpowiedziała z uśmiechem.

– Po takim śniadaniu ten bieg to będzie dla pani bułka z masłem.

Oboje się uśmiechnęli i ruszyli. Oj, nie było łatwo! Ze względu na intensywny deszcz pierwsza część trasy, będąca pionowym podejściem, była pokryta śliskim błotem. Wejście na górę wymagało specjalnego nachylenia ciała, tak by utrzymać równowagę i nie stoczyć się w dół. Potem kolejne etapy i następne przeszkody. A to głębokie i bardzo szerokie kałuże, w które trzeba było wejść, bo innego przejścia



na dalszą część trasy nie było. Uderzające w twarz gałęzie drzew puszczane nieświadomie przez wcześniejszych zawodników. To znów zbieganie po bardzo śliskich i olbrzymich skałach.

Ale ona wcale się nie bała, lecz koncentrowała na dobrym stawianiu stóp, odsuwaniu gałęzi i szukaniu najlepszych ścieżek. Podziwiała widoki przyrody roztaczające się wokół.



Gdy mama pokonywała kolejny etap biegu, my z tatą dotarliśmy do pobliskiej pizzerii. – Tutaj, tatuś, tutaj wejdźmy.

Weszliśmy do środka – było tłoczno i wszystkie stoliki pozajmowane.

– Kinga, wychodzimy – powiedział stanowczo.

– No nie... i co teraz? Ja chciałam pizzę. Może poczekajmy, a nuż ktoś zaraz skończy, a my zajmiemy po nim miejsce?

– Ruszamy dalej, na pewno w tym miasteczku będzie jeszcze jakaś restauracja. Chodź pod parasol, idziemy dalej.

Przeszliśmy jakieś sto metrów, gdy nagle z lewej strony parasola zobaczyłam wyłaniające się promienie słońca.

– Tatusiu, tam chyba też coś jest. Tam na wzgórzu.

Podeszliśmy kilkadziesiąt kroków pod górkę, by dotrzeć do lokalu, ale wcale nie byliśmy przekonani, że jest on otwarty. Było w nim całkowicie ciemno.

– Nikogo nie ma – powiedział tata, zaglądając przez okno do środka. Zamknij...

Nie zdążył wypowiedzieć ostatnich głosek, gdy drzwi otworzyły się, a zza nich wyszedł pan ubrany w zielony roboczy strój i powiedział:

– Zapraszamy, mamy właśnie remont, ale w taką pogodę nikt nie powinien zostać na dworze i moknąć. Państwo pewnie od kogoś z biegu. Wejdźcie do środka. Jest pani Halinka, zrobi wam herbatkę, coś do zjedzenia też zorganizuje. Chodźcie!



Zamknęliśmy parasolkę i trochę onieśmieleni weszliśmy do środka.

W pierwszej sali, w której trwał właśnie remont, na podłodze gdzieś stały wypełnione farbami wiadra i wały się różnej wielkości pędzle.

– Teraz na szczęście są już takie farby, że ich w ogóle nie czuć. A dziś tu malowaliśmy. Zaprowadzę was do sali, która będzie odnawiana za kilka dni, tam jest jeszcze czyściutko i będziecie mogli w niej przeczekać ten deszcz.

Szliśmy między sprzętami remontowymi, aż w końcu doszliśmy do drzwi przykrytych folią zabezpieczającą, tak by przez remont nie uległy zniszczeniu. Nasz przewodnik otworzył je, a naszym oczom ukazał się niezwykle kolorowy pokój, którego wszystkie ściany przedstawiały górski krajobraz.

Stanęłam na środku i zaczęłam obracać się wokół własnej osi, oglądając w zachwycie przedstawione na ścianach obrazy.

– Wow, ale tu pięknie! Jeszcze czegoś takiego nigdy w życiu nie widziałam. To tak, jakbym była w jakiejś innej krainie – mówiąc to, dalej obracałam się dookoła z podziwem.

– Kinga, przestań się kręcić, bo zaraz się przewrócisz.

– Tak, za chwilę – kręciłam się dalej, tak mi się to podobało.

– Kinga! – powiedział stanowczo tata, a ja wiedziałam, że ten ton jego głosu oznacza, że kategorycznie muszę przestać. W końcu stanęłam w jednym miejscu, próbując złapać równowagę.

– Proszę pana, a co to jest na tych ścianach? – zapytałam robotnika.

– To obraz, który był tu od zawsze. Został namalowany przez pierwszych właścicieli kamienicy, którzy chcieli na nim przedstawić

piękno tego regionu. – Po chwili dodał: – Ja państwa bardzo przepraszam, ale muszę już wracać do pracy, spieszmy nam się z remontem. Do widzenia. Usiądźcie sobie, gdzie wam pasuje, rozgośćcie się, a zaraz podejdzie do was pani Halinka. Zresztą powiem jej, że są goście, ona bardzo lubi, jak ktoś nowy się tu zjawia.

– Do widzenia. Dziękujemy. Dzię-ku-jemy, dzię-ku-jemy, dzię-ku-jemy – powiedziałam to, jakbym śpiewała piosenkę.

– Kinga!

– Dobrze, tatusiu, już nic nie mówię – zrobiłam niewinną minę i uśmiechnęłam się. Pan wychodząc podszedł jeszcze do jednej ze ścian, z lewej strony przy wejściu do pomieszczenia, i dotknął ją dłonią. Ze zdziwieniem w głosie, jakby sam do siebie, powiedział: – Dziwne, jestem przekonany, że rano były tu jeszcze drzewa, a teraz jest tylko polana i to o jakichś bladziej kolorach. Hmm... Po chwili przybliżył się do obrazu namalowanego po prawej stronie od drzwi. – Nie, no tu jest w porządku, chociaż... przecież były tu chyba ostrężyny.

Zdziwiony wyszedł z pomieszczenia. Było słychać, jak mówi do kolegów:

– Chłopaki, tam chyba znowu coś zniknęło.

– Jasne, stary... Nie żartuj już. Tobie to ciągle coś znika, a śniadanie ci nie zniknęło? Ciebie to się żarty ciągle trzymają, ha, ha, ha!

– Znowu mi nie wierzycie...

– A jak ci mamy wierzyć, Robert? Ty w końcu zejdziesz na ziemię. By zdążyć w terminie, pracujemy nawet w dni wolne, a jak tak dalej będziesz debatować, to nigdy nie skończymy tego remontu. Wypłaty nie dostaniemy. Jak opłacisz czynsz za mieszkanie? Co będziesz jadł

przez najbliższy miesiąc? O to się martw, a nie o jakieś tam szmerybajery. Wydoroślej już w końcu, chłopie!

Po ostatnich słowach nie było już nikogo słychać. Tylko co jakiś czas dochodziły dźwięki gwizdzących przy pracy mężczyzn.

– Ale tu ładnie. Prawda, tato? A czy mógłbyś namalować coś takiego w moim pokoju na ścianie?

– Kinga, to, że coś gdzieś zobaczysz i ci się spodoba, nie oznacza wcale, że musisz to mieć. W zeszłym roku pomalowałem w twoim pokoju ściany, powiesiłem obrazy. Nic nie będziemy na razie zmieniać.

– Ale popatrz, jak tu jest ładnie.

– Kinga jest ładnie, ale ty w pokoju też masz dobrze. Koniec tematu.

– A możemy tutaj usiąść? – wskazałam na fotele znajdujące się pod oknem.

I już miałam siadać, gdy usłyszałam rodzicielskie:

– Halo, moja panno, a co z mokrą kurtką? Tam jest wieszak – wskazano mi stojak znajdujący się za drzwiami wejściowymi do pomieszczenia.

– A no tak, zapomniałam. Dzięki tato, bo inaczej to bym cały fotel zmoczyła. Niefajnie by mi się potem siedziało, prawda?

– Chyba chodzi nie tylko o nieprzyjemne siedzenie na mokrym meblu...

– No tak, tak. Zasady, zasady. Wchodzimy gdzieś, to ściągamy wierzchnie ubranie.

– Weź też ten parasol i rozłóż go, żeby wysechł.

– Dobrze, tato.

Wtem do pomieszczenia weszła starsza pani ubrana w fioletowy szlafrok i z wałkami na głowie. Wesółym głosem powiedziała:

– Dzień dobry. Chciałam się tylko przywitać. Zaraz się przebiorę, bo przed chwilą wstałam. Przepraszam za mój strój, ale nikt tu teraz nie chodzi, bo mamy remont.

Pani postawiła dzbanek z herbatą na naszym stoliku, obok położyła dwie białe filiżanki i talerzyk z ciasteczkami. – *Słodycze, mniam...* – pomyślałam w duchu, a nasza gospodyni kontynuowała:



– Poza tym, bardzo źle spałam tej nocy, ciągle się budziłam. Co chwilę słyszałam jakiś śmiech dochodzący z tego pomieszczenia, gdzie teraz

jesteśmy. Szczerze powiedziawszy, to już od kilku dni się nie wysypiam. Ciągłe to samo. Mam wrażenie, jakby to był śmiech setki osób. Nikomu nawet o tym nie mówię – pani machnęła ręką. – A zresztą... i tak nawet mój mąż mi nie wierzy. W nocy zrywam się na nogi i podchodzę do podłogi podstuchać, bo nasza sypialnia znajduje się dokładnie nad tym pokojem, i zawsze dochodzą stąd jakieś dźwięki. Co noc przez kilka minut trzymam ucho przyłożone do podłogi, ale Franek, mój mąż, mówi mi, że wymyślam – mam się kłaść i dać mu spać. Oj, proszę was, tylko nikomu o tym nie mówcie. Nie chcę, żeby inni myśleli, że jestem jakąś dziwaczką. A teraz poczęstujcie się herbatką, ja zaraz przyniosę coś gorącego do jedzenia.

Od razu wzięłam ciasteczko do ręki i w pośpiechu włożyłam do buzi. Gryząc je z zapałem, zapytałam:

– A będzie pizza, będzie pizza?!

– Tak, może być i pizza. Chcielibyście ją czy wolelibyście jednak zapiekanki?

– Pizza, pizza, pizza! – powtarzałam jak zahipnotyzowana.

– Dobrze. Będzie pizza.

– A może być na cienkim cieście z mozzarellą i rukolą? Bo ja taką bardzo lubię.

– Tak, może taka być.

– A będzie też oliwa z oliwek?

– Tak, będzie i oliwa z oliwek do wyboru, do koloru, z różnymi składnikami w środku: czosnkiem, papryką i czymś tam jeszcze. Już nie pamiętam z czym.

- Super. A jak długo będziemy czekali?
- Kinga, spieszy ci się gdzieś? Nie za dużo pytań? – powiedział zirytowany już moim zachowaniem tata.
- Dziękujemy bardzo. Zdajemy się na panią. Cieszymy się, że goszczą nas tu państwo pomimo zamknięcia – dodał spokojnym tonem.
- Dobrze, to w takim razie ja już idę na górę. Ogarnę się trochę, by wyglądać jak człowiek, a nie hasać tu przed wami w szlafroku i w wałkach na głowie. Jedzenie niedługo będzie. To smacznej herbatki wam życzę i do zobaczenia.
- Tato, ale dziwne, nie?
- Ale co tym razem jest dziwnego?
- Ta pani w szlafroku. To jej ubranie. Tak się chyba nie podaje w restauracji, prawda?
- No dziwne, Kinga, dziwne, ale sama słyszałaś – pani nie spała kilka nocy, mają remont.
- Ale wiesz co, ta pani jest bardzo miła, prawda?
- Prawda, Kinga, prawda.
- Wolę taką, niż jakąś pięknie wyszykowaną, ale niemiłą panią.

Usiadłam wygodnie w fotelu i spojrzałam na widok za oknem.



Na dworze wiatr unosił intensywnie padający deszcz to w jednym, to w drugim kierunku.

– Tato, tak tam pada, a mama jest na dworze i jeszcze biega... – powiedziałam zaniepokojona.

– Kinia – zaczął spokojnym głosem, chcąc mnie uspokoić. – Wiesz, że ona lubi wyzwania.

– Ale taka pogoda...

– Przecież wiemy, co nam powtarza: „Nie ma złej pogody do biegania, jest tylko niewłaściwie dobrane ubranie”.

– Ale jak nas żegnała przed startem, wcale nie była tak dobrze ubrana – posmutniałam.

– Mama miała kurtkę przeciwdeszczową w plecaku. Będzie chciała, to ją założy.

– Tato, a wiesz, że ja mamie włożyłam rano taki duży worek na śmieci do plecaka biegowego? Hi, hi, hi...

– Chyba żartujesz!

– Nie, nie żartuję. Schowałam jej go, bo oglądałam kiedyś taki film, w którym jakaś pani nie miała kurtki przeciwdeszczowej i po prostu zrobiła kilka dużych dziur w worku na śmieci i założyła go na siebie, dzięki czemu nie zmokła.

– Och, ty i te twoje pomysły! Nie martw się, już mama sobie jakoś poradzi, może będzie dużo drzew i ich korony i liście uchronią biegaczy przed całkowitym zmoknięciem.

W pewnym momencie drzwi otworzyły się i weszła pani Halinka ubrana już zwyczajnie, bez śladu szlafroka, za to nadal z grubymi wątkami na głowie.

– Już wam nie będę przeszkadzać, pizza się robi, to znaczy wyrabiamy ciasto. Przyniosłam coś do przekąszenia, bo dziewczynka na pewno jest głodna, poczęstujcie się zapiekaneczkami.

– Kinga się nazywam. Tak, ja już od dawna jestem głodna. Oj, dziękuję bardzo! – i już miałam chwycić dopiero co położone zapiekanki na stoliku, gdy odezwał się tata.

– A ręce? Hola, koleżanko, umyć je i to zaraz, już i tak zjadłaś ciastko brudnymi rękami.

Pani Halinka spojrzała na mnie i pogłaskała mnie po głowie.

– Nic się nie stało. To chodź, Kingo, pokażę ci, gdzie możesz umyć ręce, bo przy tym naszym remoncie nie jest tak łatwo tam dotrzeć, wszędzie pełno folii i sprzętu.

Ruszyłam więc za panią Halinką szukać umywalki. Gdy tak szłam, wydawało mi się, że drzewa znajdujące się na obrazie co jakiś czas się poruszały.

– Proszę pani, a jak pani myśli, co to mogły być za śmiechy, które pani tu słyszała?

– Kingo, ech... rzadko z kimś na ten temat rozmawiam. Wiesz, parę lat temu też mi się wydawało, że stąd dobiegają jakieś dziwne odgłosy. Ale zawsze jak komuś o tym mówiłam, to każdy twierdził, że na pewno mi się zdawało. Wszyscy mówili, że to dźwięki z zewnątrz, że ktoś sobie przechodzi obok budynku i tak po prostu ma w zwyczaju się głośno śmiać.

– Aha – dodałam, ale jakoś to tłumaczenie pani Halinki nie było dla mnie zbyt przekonujące. – *Ciekawe, bardzo ciekawe. Kto niby chodzi nocą i śmieje się, jakby był setką osób?* – pomyślałam.

W końcu dotarliśmy na miejsce i umyłam ręce. Wróciłam do taty, usiadłam i zaczęłam jeść zapiekanki. Zrobiłam pierwszy kęs.

– Tato, weź też. Mmm... Wiesz, jakie pyszne?

– Nie mam ochoty. Poczekam na pizzę.

– Ale weź, weź.

– Kinga, jak powiedziałem, że nie chcę, to nie chcę. Jak chcesz jeść, to jedz, ale nie zmuszaj mnie, bym to robił, jeśli nie mam ochoty – powiedział stanowczo i podniósł ze stolika gazetę, która na nim leżała.

Zjadłam swoją kromkę, potem kolejną i jeszcze jedną oraz parę ciastek. Minęło kilka minut, tata w tym czasie przejrzał gazetę, która najwidoczniej go nie zainteresowała, i ze stolika stojącego obok naszego zabrał znajdującą się tam książkę.

Obejrzał okładkę, przeczytał opis znajdujący się z tyłu. Powiedział do siebie pod nosem: – Kryminał skandynawski polskiej pisarki wydany pod męskim pseudonimem. Hmm..., może być ciekawe. Przeczytamy.
– Ale tato, co ja mam robić? Przecież zanim mama będzie na mecie, to minie sporo czasu, a mnie się już teraz nudzi – powiedziałam smętnym głosem.

– Kinga, zabrałaś ze sobą książkę, łamigłówki, kolorowanki i kredki, to zajmij się tym. Czytaj, rysuj, rozwiązuj zagadki i nie kombinuj, bo już widzę, że zaczynasz to swoje marudzenie. Przygotuj się, będziemy tu siedzieć nie mniej niż trzy najbliższe godziny, zajmij się czymś.

– No dobra, dobra. Zaraz zacznę rozwiązywać łamigłówki. Pewnie i tak będę wszystko wiedziała.

Najpierw jednak wstałam z krzesła i zaczęłam chodzić po pomieszczeniu. Przyglądałam się krajobrazowi na ścianie. Góry, łąki, pola, malutkie chatki, gdzieś postacie. W pewnym momencie wydawało mi się, że jedna z nich poruszyła się. – *Nieemożliwe* – pomyślałam. Podeszłam bliżej i zaczęłam przyglądać się postaci, ale ta zdecydowanie stała nieruchomo.

– *Oj, jak zwykle coś mi się wydawało. To wszystko pewnie przez opowiadanie tego pana o znikających rzeczach z obrazu i opowieści pani Halinki o śmiechu dochodzącym z tej sali* – pomyślałam.

Po przejściu wzdłuż i wszerz całego pomieszczenia spojrzałam jeszcze na widok roztaczający się za oknem. Deszcz przemieszczał się wraz z dyrygującym nim wiatrem to w prawo, to w lewo. Był tak intensywny, że poza nim niczego nie dostrzegało się w oddali. – *Oj, biedna ta mama, w co ona się tym razem wpakowała* – pomyślałam. – *No, ale skoro lubi takie przygody...*

W końcu usiadłam wygodnie w fotelu, który wcześniej przesunęłam troszkę dalej od stolika, a bliżej ściany. Z nudów wzięłam do rąk łamigłówkę i długopis.

Najpierw zaczęłam rozwiązywać zadanie polegające na łączeniu numerów za pomocą kreski, tak by na sam koniec powstał z nich obrazek. Gdy właśnie udało mi się połączyć wszystkie numerki od 1 do 22 i rozpoczęłam szukanie liczby 23, usłyszałam:

– Pst! – jakiś szept dobiegł ze ściany. – Pst!

Byłam zdziwiona, przecież nikogo poza mną i tatą w tym pokoju nie było. Remont trwał w pomieszczeniu znajdującym się obok, ale stamtąd głos nie mógł dochodzić.

– *Eee, zdawało mi się. Może to jednak ten potwornie padający deszcz.*

– Pst, pst, pst! – dało się słyszeć ciut głośniej.

– Spójrz tutaj.

– *To musi coś być! Ktoś musi mnie wołać!* – pomyślałam, będąc całkowicie przekonana o swojej racji.

Zaczęłam rozglądać się po pokoju, w którym siedzieliśmy. Nikogo tam nie było. Wstałam i chodziłam od kąta do kąta. Tata co jakiś czas wyglądał zza książki i spoglądał, co robię. Udawałam, że tylko chodzę sobie po pokoju, że nic się nie dzieje. Musiałam odkryć, kto szeptał, ale musiałam to zrobić tak, by nikt się nie zorientował. Wydawało mi się bowiem, że tylko ja słyszę ten głos.

– Kinga, co ty robisz? Siadaj w końcu i zajmij się łamigłówką albo poczytaj sobie tę swoją książkę.

– Tato, ale ja nic nie robię – odpowiedziałam. Nie chciałam, by zainteresował się moim odkryciem, zresztą i tak by w nie nie uwierzył.

Usiadłam na kanapie, zakryłam twarz książką i nasłuchiwałam, czy odgłosy znów się pojawią.

– Pst! To ja. To ja cię wołam. Jestem w obrazie na ścianie. Stoję obok małego drewnianego domku, który znajduje się dokładnie za tobą. Odwróć się dyskretnie, to mnie zobaczysz.

Odwróciłam twarz, trzymając przed sobą książkę. Nie chciałam, by zauważono, że ruszam ustami podczas rozmowy – można by się przecież domyśleć z ruchu moich ust, co mówię.



– O jejku! – powiedziałam na głos zdumiona. Zorientowałam się, że słowa jakby same wyskoczyły z mojej buzi.

– Co znowu, Kingo?

– Nic, nic, tatuś. Tak sobie tylko czytam. Fajna jest ta książka – usiadłam grzeczniutko wyprostowana na fotelu.

– To się cieszę, że lektura ci się podoba. Może uda ci się ją skończyć, nim mama dobiegnie do mety.

– Tak, tatuś. Też tak myślę, że uda mi się ją przeczytać. Nie jest długa. – więcej nie odpowiadałam. Nie chciałam, by tata zaczął ze mną dłuższą pogawędkę, w końcu musiałam poznać tajemnicę tego miejsca.

– Dobrze. To oboje czytamy, skupiamy się i nie odzywamy.

– Tak. Czytamy i się nie odzywamy – utwierdziłam go w tym, że na pewno będę zajmować się czytaniem i niczym innym. A on będzie miał czas tylko dla siebie i swojej książki.

– Pst, pst... Dziewczynko!

Odwróciłam się po raz kolejny do obrazu na ścianie.

Przed małą, drewnianą chatką stał człowieczek o ciemnoblonde włosach. Był ubrany w niebieskie spodnie i kremową koszulę. Człowieczek, chwilę wcześniej stojący przed chatką, nagle przebiegł trochę dalej, gdzie było pełno zieleni. Stał i machał obiema rękoma.

– Wreszcie mnie zauważyłaś – powiedział.

– Kim jesteś? – zapytałam, nie odwracając twarzy.

– Nazywam się Oliwier. Czy mogłabyś nam pomóc?

– Ja?! – zapytałam zdziwiona.

– Tak, ty.

– Ale niby jak mogłabym wam pomóc?

– Widzisz, ktoś wiedział, że się tu znajdziesz. Obecność twojej rodziny tutaj, w tym miejscu, nie jest przypadkowa. Tak miało być, że tu przyjechaliście, że twoja mama bierze udział w biegu, że ty z tatą trafiliście do tej restauracji. Musi zostać wykonane ostatnie zadanie, byśmy przetrwali – powiedział tajemniczo Oliwier.

I dodał: – Bardzo potrzebujemy ostatniego składnika, który musi być dodany do farb używanych do odnawiania obrazu. Nie mamy wiele czasu – jak słyszałaś od pana Roberta, ma tu być niedługo malowane.

Tylko ty i w zasadzie twoja mama możecie nam pomóc. Czy mogłabyś to zrobić? Bardzo cię proszę. Musisz na mecie wskazać nam twoją mamę.

– Zaraz, zaraz. Zanim się zdecyduję, czy mogę pomóc, czy nie, musisz wyjaśnić mi, o co chodzi. Bo dlaczego niby miałabym ci pokazać moją mamę? A jeżeli miałbyś złe zamiary, to co wtedy? Mama co prawda czasem na mnie krzyczy, ale bardzo ją kocham i żadnej krzywdy nie dam jej zrobić. Zrozumiano?

– Kiniu – tak, zrozumiałem. Absolutnie nie mam złych zamiarów, nikt tu zresztą takich nie ma – wskazał na wnętrze obrazu. Mogę ci wszystko wyjaśnić, ale to bardzo długa historia. Nie wiem, czy masz tyle czasu i czy masz ochotę mnie wysłuchać.

Rozsiadłam się wygodnie i z całą pewnością w głosie powiedziałam:

– Zaczynamy. Mam sporo czasu, muszę się przekonać, że naprawdę nie masz złych intencji.

– Dobrze, zaczynam.

Odwróciłam się na chwileczkę do Oliwiera.

– Poczekaj sekundę. Wykonam jeszcze małą kontrolę sytuacji – mrugnęłam do niego okiem. Znów obróciłam się do przodu i zapytałam:

– Tatuś, co u ciebie? Nadal fajna ta książka? Czytasz sobie dalej? – specjalnie zagadałam do niego, by upewnić się, że nic nie słyszy i nie zainteresuje się tym, co robię.

On na chwilę odsunął lekturę od twarzy i z całą stanowczością powiedział: – Tak, bardzo fajna. Ale Kinga, pamiętasz, co teraz robimy? Czytamy.

– Tak, tak, to właśnie robimy.

Oboje zasłoniliśmy twarze książkami.

Byłam pewna, że jest tak pochłonięty lekturą, iż nie będzie nam przeszkadzać. Co więcej, byłam przekonana, że nic nie słyszy.

Odwróciłam się do Oliwiera i zapewniłam go: – Będę tu parę godzin, więc chętnie wysłucham twojej historii. Proszę, zatem siadam wygodnie, a ty opowiadaj.

Mały człowieczek z obrazu usiadł na pniu drzewa i rozpoczął swoją niezwykłą historię...

Rozdział II

Skąd ci wszyscy ludzie w obrazie?

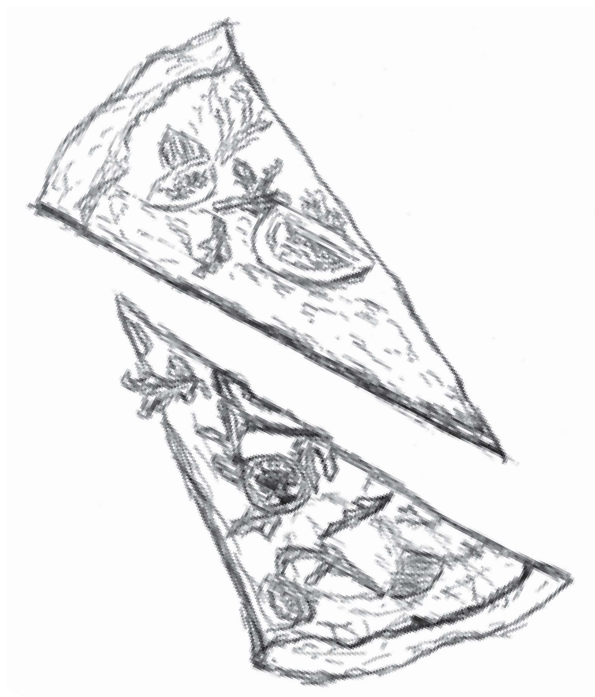
- Widzisz to wszystko? – Oliwier wskazał na to, co go otaczało na obrazie. – Nasza kraina nie jest taka jak dawniej, ech... A tam
- wskazał na fragment ściany w pobliżu drzwi i złapał się za głowę.
- Nie mogę już o tym spokojnie mówić!

Byłam pewna, że próbował się nie wzruszać, by przy mnie nie zapłakać. Słuchając jego drżącego głosu, wiedziałam, że ta historia jest dla niego bardzo ważna i związanych jest z nią wiele najbardziej skrytych emocji. A mnie z każdym jego słowem coraz bardziej ona ciekawiła.

W pewnym momencie do pomieszczenia weszła pani Halinka z obiecaną pizzą.

– Pizza! – krzyknęłam na głos – i to nasza ulubiona. Je, jee, jeee! – aż zapiszczałam z radości.

– Cieszę się. Życzę wam smacznego, uciekam i już wam nie przeszkadzam, bo widzę, że zaczytani jesteście.



Pani Halinka postawiła jeszcze na stoliku kilka buteleczek z oliwą z oliwek, uśmiechnęła się do mnie i wyszła. Tym razem nie miała już wałków na głowie, lecz piękne loki.

Wzięłam jeden kawałek pizzy i zaczęłam go jeść. W międzyczasie odwróciłam się do Oliwiera, skinęłam do niego głową, jak gdyby dając mu znać, że jestem gotowa słuchać dalej, tym samym zachęcając go do dalszej opowieści.

Oliwier wziął oddech i kontynuował:

– Wszystko zaczęło się w 1887 roku, kiedy do tej kamienicy wprowadziło się małżeństwo malarzy, Kornelia i Wilhelm Tworzewscy. Byli to niezwykle sympatyczni ludzie z dużym poczuciem humoru. Bardzo lubili się śmiać. Śmiali się codziennie. Czasem robili sobie malarskie żarty. Gdy on malował np. portret jakiejś kobiety, ona niespodziewanie do niego podchodziła i domalowywała wąsy. To znowu, gdy ona malowała zwierzęta, np. osła, on domalowywał mu skrzydła. Śmiech codziennie było słychać w ich domu. Malowali najróżniejsze rzeczy, zajęcie to sprawiało im wielką radość. Najbardziej ze wszystkiego uwielbiali przedstawiać krajobrazy. A że kochali region, w którym mieszkali, pewnego dnia postanowili w tej sali, w której teraz jesteśmy, na wszystkich ścianach namalować olbrzymi obraz,



który przedstawiałby okolicę. Chcieli także sprawić, żeby używane materiały były jak najbardziej niezwykle. Wymyślili na to następujący sposób: do zakupionych farb mieli dodawać coś, co pochodzi z tego rejonu. A ponieważ bardzo lubili piesze wędrówki, to, gdy nie malowali, spędzali swój wolny czas chodząc po okolicznych lasach, górach i wioskach. Z każdego ze zwiedzanych zakątków przywozili jakieś składniki, które dodawali do istniejących już farb.

Z czasem zauważyli, że obraz malowany na ścianie staje się coraz bardziej naturalny, coraz bardziej przypomina rzeczywistość. Drzewa, chatki i ludzie wyglądali jak prawdziwi. Zaczęli więc zastanawiać się, co sprawia, że krajobraz aż tak przypomina ten autentyczny.

Po czasie dostrzegli, że malując np. świerki czuli zapach lasu, a kwiaty roztaczały niezwykle woń – tak było w przypadku namalowanych na polance konwalii.

Z każdym nowym kwiatkiem po pomieszczeniu roznosił się coraz mocniejszy ich zapach. Jeszcze dziwniejsze rzeczy działy się, gdy na obrazie pojawili się ludzie. Pierwszą osobą, którą stworzyli, był akurat mój pradziadek Alfred.

Pewnego dnia pradziadek Alfred nagle ożył.

– Kim ja jestem? – zapytał, dotykając swoich rąk – to prawej, to lewej, to znów brody. – Halo, jest tu ktoś? Czy są tu jacyś ludzie? – Zaczął się rozglądać, biegać po okolicy, lecz nikogo nie spotkał. W pewnym momencie, idąc nad rzekę i wchodząc na most, ujrzał za sobą jasne światło. Przeszedł do końca mostu i zobaczył dziwnie olbrzymich ludzi, malujących fragment krajobrazu. Tymi ludźmi byli oczywiście państwo Tworzewscy. Pradziadek od razu poczuł do nich niezwykle sympatię.



Państwo Tworzewscy właśnie w tym momencie robili sobie codzienne żarty, co chwilę się do siebie uśmiechali i mówili bardzo miłymi głosami.

– Dzień dobry – powiedział pradziadek Alfred. – Dzień dobry! – powtórzył, lecz nikt nie zareagował. – Czy mnie słyszać?

Niestety, nikt się nie odwracał. Pradziadek próbował mówić jeszcze głośniejszym głosem. W pewnym momencie odwróciła się pani Kornelia.

– Wilhelm, czy ja coś słyszę, czy mi się tylko zdaje? Ty coś słyszysz?

Wilhelm spojrzał na Kornelię, zrobił wątpiącą minę i odpowiedział:

– Jedyne, co słyszę teraz, to ciebie. – Pan Wilhelm odwrócił się, zamoczył czysty pędzel w kubeczku z wodą i opryskał delikatnie żonę.

– Nela, zdaje ci się. Maluj, bo nie skończymy tego obrazu nawet za rok, pracując w takim tempie.

– Jak tak mnie będziesz oblewać wodą, to na pewno tego szybko nie skończymy.



Małżeństwo kontynuowało pracę.

– *O, nie. Przecież mnie nie słyszysz. Oni muszą dowiedzieć się, że tu jestem* – pomyślał Alfred.

Zerwał rosnące w pobliżu (wcześniej namalowane) poziomki i zaczął nimi w nich celować.

Zrobił zamaszty wymach i rzucił. Trafił.

Tak się złożyło, że kilka poziomek doleciało do malarza i ubrudziło jego policzek.

– Wilhelm, skąd ty masz nagle piegi na twarzy?

– Jakie piegi, Kornelio? Przecież dziś nie Prima Aprilis, żebyś sobie ze mnie tutaj żarty robiła. Oj, dam ci ja zaraz piegi na twarz!

Pan Wilhelm wziął pędzel umoczony w pomarańczowej farbie i skierował go w stronę Kornelii. Wtem w jego kierunku poleciała cała seria poziomek.

– Co to jest? Jak, skąd?!

Oboje spojrzeli w dół, by zobaczyć, kto rzuca poziomkami. Schylili się i skierowali wzrok w stronę obrazu. Dopiero teraz dostrzegli Alfreda, który zaczął intensywnie wymachiwać do nich rękami.



– Wilhelm, przecież ja go namalowałam. Jak to jest możliwe, że on się rusza? Jak to jest możliwe, że w ogóle żyje?

– Och, Kornelia, nie słyszałaś ty o cudach? Ale fakt, bez żartów. Rzeczywiście ja go widzę, ty go widzisz. To prawda, on żyje. Chyba jednak nie zdawało ci się wcześniej, że coś słyszałaś.

– Dzień dobry państwu! – Alfred pomachał radośnie i równocześnie podskoczył. – Tak, ja żyję – pradziadek obrócił się wokół własnej osi – i nawet potrafię się ruszać – wykonał kolejny obrót.

– Ale jak?! Jak to możliwe, że ty żyjesz? – zapytał Wilhelm.

– Wilhelm, a nie jest tak, że to wszystko przez te nasze składniki dodawane do farb? Chcieliśmy przecież, by wszystko było naturalne, by nasz obraz jak najbardziej przypominał rzeczywistość.

– Tajne składniki? – Wilhelm spojrzał z uśmiechem na Kornelię. – Fakt, dodaliśmy tam troszkę magii. Zresztą, z tego terenu wywodzi się niejedna legenda. Przecież to w tych okolicach żył słynny Liczyrzepa.



Tworzewscy długo rozmawiali z pradziadkiem. Bardzo się polubili. Wspólnie zastanawiali się nad przyszłością. Czy coś w obrazie powinno się zmienić? Jak należałoby się nim opiekować? Z czasem liczba mieszkańców obrazu zwiększała się – a to przez domalowywanie kolejnych osób, a to przez zakładanie

przez mieszkańców swoich rodzin. Państwo Tworzewscy znali wszystkich i każdego darzyli niezwykłą sympatią. Co kilka dni zapraszali także małe ludki na wspólną herbatkę, by pogawędzić, pośmiać się i poopowiadać o świecie zewnętrznym. Nikt jednak, kto mieszkał w obrazie, nie mógł z niego wyjść – przejście było zarezerwowane dla wybrańców. Miejscem, które łączyło obraz z rzeczywistym światem, był most na rzeczce znajdujący się wewnątrz obrazu. To na jego końcu siadali na ławeczkach ludzie z ich dzieła i podglądali, co dzieje się w pokoju. Malarze mieli dar widzenia zarówno całego obrazu, jak i tajemnego miejsca, które było niczym łącznik między rzeczywistością a światem magii. Postanowili, że osoby, które w przyszłości odwiedzą to miejsce, nie będą dostrzegać tego wszystkiego, co dzieje się w tym równoległym istniejącym świecie. Będą widzieć krajobraz, rzekę, most, ale ruszających się ludzi już nie.

Tworzewscy zawsze służyli radą postaciom żyjącym w obrazie, a czasem nawet na ich prośbę domalowywali jakieś przedmioty, budynki, kwiaty i wszystko to, o co ich proszono. Zawsze jednak powtarzali: „Kiedyś nas zabraknie, a wtedy będziecie musieli sobie bez nas radzić. Pamiętajcie, idźcie przez życie z uśmiechem i choćby nie wiadomo co się działo, szukajcie w niesprzyjających momentach czegoś dobrego. Zawsze jest coś, czym można się pocieszyć. I śmiećcie się, śmiećcie się jak najwięcej i jak najczęściej”. Ponieważ sami bardzo często się śmiali, wiedzieli, jak to może w życiu pomóc. Postanowili więc nauczyć też tego mieszkańców. Razem z nimi urządzali specjalne sesje śmiechu. Gdy już zaczęto się śmiać, trudno to było zatrzymać. Sesje stały się dla mieszkańców obrazu tradycją.

Mijały lata. Z czasem państwo Tworzewscy zestarzelili się i coraz bardziej zaczęli obawiać się o przyszłość obrazu i ludzi w nim mieszkających. Podczas swojego życia kilka razy krajobraz na ścianie odnawiali. Co będzie po ich śmierci? Kto zajmie się tajemnymi składnikami farb? – te pytania wciąż spędzały im sen z powiek. Wiedzieli, że muszą w jakiś sposób zabezpieczyć mieszkańców obrazu na przyszłość. W końcu do głowy przyszedł im pewien pomysł. Namalowali tajemniczy przedmiot – Efalup, który miał rozwiązać trapiący ich problem. Efalup wyglądem do złudzenia przypominał książkę. Miał okładkę i we wnętrzu kartki. Okładka była drewniana, a kartki, choć papierowe, były jednak niezwykle – nikt nie mógł ich ot tak sobie przewracać. Karty otwierały się tylko na wybranych stronach. Te, które nigdy się nie odsłaniały, zawierały informacje dotyczące tajnych składników mikstury dodawanej do farb. To dzięki tej miksturze kwiaty pachniały, drzewa szumiały, a mieszkańcy wioski żyli. Magiczny przedmiot został przekazany mojemu pradziadkowi, jako temu, który pierwszy ożył.





Malarze nie mieli potomków – po ich śmierci dom trafił do nowych właścicieli, którzy jednak nigdy nie dowiedzieli się o magii tu istniejącej. Otworzyli w tym miejscu restaurację. I choć wszystkie ściany w budynku pomalowali po swojemu, obraz z tej sali zostawili w jego pierwotnej wersji. Miał być on swoistą atrakcją dla gości. Tradycja prowadzenia restauracji była kontynuowana przez potomków nowych właścicieli, którzy także ten obraz uwielbiali.

Przez lata jednak nikt z rodziny nowych właścicieli nie miał pojęcia, co w pokoju się działo i jaka magia była z nim związana. Nikt o nas nie wiedział. My zaś, mieszkańcy obrazu, mieliśmy możliwość podglądania i podsłuchiwania gości restauracji. Wchodząc na most znajdujący się na rzece, wszystkich widzieliśmy i słyszeliśmy.

A co dalej z Efalupem? Niedługo po śmierci Tworzewskich także i mój pradziadek Albert umarł. Mieszkańcy obrazu zdecydowali, że ten magiczny przedmiot musi dalej pozostać w naszej rodzinie. To ona miała się nim zaopiekować. Zdecydowano jednak, że gdy przyjdzie moment wyboru tego, który miałby zdobyć tajemne składniki do farb, rada najstarszych mieszkańców podejmie decyzję, kto to zrobi. Czasem rozmawiano na spotkaniach zwoływanych co dziesięć lat na temat dnia, kiedy będzie trzeba podjąć zdecydowane kroki w sprawie ratowania wszystkiego i wybrać tę osobę, która wykona zadanie znalezienia składników. Bardzo obawiano się tego dnia. W głowach wszystkich pojawiało się pytanie: A co, jeśli wybiorą niewłaściwą osobę? Co, jeśli nie wykona ona zadania? A co, jeśli Efalup nie będzie działać? Co, jeśli po kolei wszystko i wszyscy będą znikać? Co, jeśli w końcu wszystko zniknie, oni sami także? O dniu tym mówiono zawsze TEN DZIEŃ, ale nikt nie wiedział, kiedy przyjdzie i jak się do niego przygotować.

W końcu TEN DZIEŃ niespodziewanie nadszedł.

Rozdział III

Co przyniósł TEN DZIEŃ?

Był rano, kiedy pan Janek, mieszkaniec najbardziej na zachód wysuniętego domku, wyszedł z koszykiem przed swoją chatkę, by spod rosnących w ogrodzie świerków i sosen zebrać grzyby, z których uwielbiał przygotowywać potrawkę. Prawie śpiący podszedł do miejsca, gdzie rosły, ale ku swojemu zdumieniu nie zobaczył drzewek. Były tylko rosnące maślaki, kozaki, borowiki, które na jego oczach zaczęły powoli znikać.



– O cie, Felek kartofelek! – powiedział na głos pan Janek. – To jest TEN DZIEŃ!

Pan Janek rzucił pusty koszyk przed domem i zaczął biec po drodze, wołając:

– To jest TEN DZIEŃ, TEN DZIEŃ! – pan Janek wołał coraz głośniej.

– TEN DZIEŃ! Ludzieeee, to jest właśnie TEN DZIEŃ!

Mieszkańcy obrazu zaczęli wychodzić ze swych chatek, powtarzając słowa pana Janka i biegnąc za nim.